

Gdym był ministrantem

Kiedy skończyłem drugą klasę szkoły ludowej, uczyniono mnie ministrantem. Jeszcze dziś zdaje mi się, że mi duszę i serce spowiła woń tymianu. Zdawało mi się, że zostałem z grzechów oczyszczony, poświęcony ołtarzowi. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy jak w owym błogosławionym roku.

Podczas mszy porannej, którą odprawił ksiądz młody i piękny, służyłem sam jeden. Przenosiłem dużą i ciężką ewangelję i pot spływał mi z czoła; jednak nie byłem tak utrudzony, jak głodny.

Wówczas żywił się tylko chlebem z kukurydzy.

Po mszy skończonej skinął na mnie ksiądz i wcisnął mi pieniąż w rękę. Był to pieniąż świecący, całkiem nowy.

Dotąd w życiu nie miałem w rękę pieniądza, był on dla mnie bogactwem, o którym marzyć nie śmiałem.

Pierwszą moją myślą było:

— Biegnij do matki!... Rozplacze się nad takim cudem.

Wyszedłem z zakrystji na plac przed kościołem. Stały tu buda przy budzie, ze słodyczami całego świata. Były ciastka oblewane białym lukrem, cukierki kryształowe, czerwone jak rubiny, zielone jak szmaragdy, pomarańcze, grona winne.

— Masz pieniąż. Twój on jest, co ściszkasz w dłoni.

Myśl ta uderzyła mnie jak obuchem. Obróciłem się za siebie, czy nikt tej myśli nie słyszał. Wydawała mi się grzeszną. Przecież pieniąż ten miał dać matce!

Na sercu poczułem ciężar i słońce nie świeciło już tak jasno i ludzie stali się tak zwyczajni i świat wydał mi się szarym, smutnym.

Zaszedłem w boczną uliczkę. Tutaj przed koszem z pomarańczami stała dziewczyna, trzymając w każdej ręce złocisto-purpurowy owoc przekrojony. Wnętrze było rumiane, soczyste jak miód.

— Dajcie mi pomarańczę.

— Za ile? — pytała dziewczynka.

— Za wszystko, za cały nowy pieniąż.

Kiedym to mówił wydawał mi się, że mówię innym głosem, że mówi za mnie ktoś inny.

Pomarańcze były miękkie, chłodne. Zdarłem skórkę i włożyłem je w usta. Ach, jak było słodkie, soczyste, jak swą słodyczą i chłodem pieściło podniebienie.

W tej chwili wypłułem je z ust.

Matka je chleb z kukurydzy z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień i może nie wie jak smakuje chleb pszenny. A ja jem pomarańcze! Na sercu mem był kamień, był tak ciężki, tak straszny!

Przyszedłem do domu późno. Było już po obiedzie, ale matka schowała coś dla mnie. Zaledwie skośztowałem, łyżkę drewnianą odłożyłem. Pot zimny spływał mi po policzkach.

— Co ci jest? — zapytała matka przestraszona.

Nie ważyłem się spojrzeć jej w oczy, bo mi się zdawało, że bym umarł ze wstydu i żalu, spojrzawszy w jej wiedne i kochające oczy.

Uderzyłem czołem o stół. Matka ujęła mą głowę

Pacierz polskiego dziecka

W Imię Ojca, w Imię Syna —

Oto się modlić zaczynam —

I myśli przed Tobą otworzę,

Bo wiem, że wysłuchasz mię Boże.

Utwierdź we mnie moc ducha

Niech głosów Twych zawsze słucham,

Wzmóż we mnie najszczerze chęci —

Niech Imię Twoje się święci...

I w serce radosne moje

Niech przyjdzie Królestwo Twoje...

Niech anioł Twój z chlebem przyleci

Do wszystkich głodnych dzieci —

I niech się każdy raduje,

Kto Ciebie w sercu swem czuje.

Oto już kończę pacierze...

Rodzicom moim wzmóż siły,

By dusze się im nie zmęczyły,

I ludziom wszystkim dokoła

Rozpromień radością czoła.

I patrząc na nas z nieba

Wiedz co każdemu potrzeba —

A dłońmi błogosław świętymi

Polsce — najdroższej mej ziemi. —

J. M.

w obie dłonie i ujrzałem jej lica białe, rozjaśnione miłością, jak światłem Bożem.

— Matko, moja matko! — I znowu uderzyłem o stół głową.

— Powiedz, chłopcze, co tobie? — rzekła swym głosem łagodnym, gładząc mnie po włosach.

I wypowiadałem się przed nią jak przed spowiednikiem na spowiedzi.

— Dali mi pieniąż, całkiem nowy, świecący. Ale nie przyniosłem go tobie do domu, lecz strwoniłem i kupiłem pomarańcze. Nie gniewaj się na mnie, bo mógłbym umrzeć.

I zdarzyła się rzecz dziwna.

Matka mnie objęła z miłością ramionami, poszła ze mną w kąt pokoju przed obraz święty, wiszący na ścianie i trzykrotnie mnie przeżegnała.

— Ty, moje dziecko — rzekła i głośno zapłakała.

Przeł. D. Kr.

Legenda o kwiatach

Kiedy P. Jezus był pachołatką sześciolatnią, szedł raz z Panną Najświętszą i św. Józefem przez bardzo wielkie i piękne miasto. Nie brakowało tam pałaców i pięknych domów, ulice szerokie, a tak długie, że zmęczeni się idąc. Dokoła jednego domu ciągnął się ogród — woń szła na ulicę, przez płot mieniły się przeróżne kwiaty.

Mały Jezusek lubił kwiaty; ujrawszy ich naraz tyle wonnych i pięknych, zaczął się im przyglądać. Obok niego usiadła Matuchna i św. Józef, wypoczywając. Gdy tak stoją i patrzą, przychodzi ogrodnik. Choć mu nie przeszkadzali, zły człowiek fuknął:

— Czego chcecie? Ruszajcie swoją drogą!

Najświętsza Panna i św. Józef ujęli Pana Jezusa

za rączkę i poszli. W drodze powiada N. Marja Panna:

— Synku, albo jest słusznie, żeby bogaci mieli taką moc kwiatów, gdy biednym ich brakuje? Potem zaczęła prosić słodziuchno:

— Synaczku mój, rozrzuć je wszędzie pełną garsteczką! Niechaj rosną przy drogach, w polu i w lesie, i między trawnikami na łące, w wodzie i w górach. W szczelinach skały niechaj się mnożą, aby radowały serce pielgrzyma i najędźniejszemu biedakowi nosiły pociechę.

Dzieciatko Jezus powiodło rękami na cztery strony świata i uśmiechnęło się. W ślad za tym uśmiechem wietrzyk łagodny musnął ziemię, promienie słoneczne wezbrały stokroć siłami żywotnymi, pobiegły naokół blaski, szmery, nowe, a nieznane tchnienia rozbudziły się i drgały, falowały, rosły... Na wzgórzu kielichem błękitnym wyjrzało ciekawe jakieś ziele, dalej różowe kwiecie pochyliło główkę — to goryczka i centurja... na drodze błysnęły rumianki złote, wystrzeliły kiście babek. Najświętsza Panna przeżegnała te kwiaty i od owego przeżegnania na choroby rozmaite skutecznym są lekarstwem.

Weszli do lasu — woń aż dusi. To konwalja ją rozlewa, fiołek ciemnymi płatkami, marzanna białymi zapach sieją; pośród ssanek i barwniku pioni się miodunka, kraśnieją ostromlecze, biały zawojek płateczki niby skrzydełka rozwinął... Las się cieszy, drzewami zaszumił radośnie — w jednej chwili sto czarów mu przybyło.

Pod drzewami siadł człowiek nędznie odziany i smutny — pełną piersią wciąga w siebie wonie. Panna Najświętsza uśmiechnęła się do niego. Idą, idą, ias się skończył, wyszli na pole; czarnuszka modrem okiem z łąnow wyziera, bławatki się kołyszą i ostrożki. Gromada dzieci spogląda ciekawie, skąd tyle kwiatów wzięło się w jednej chwili.

— To wasze — mówi Matka Najświętsza, — dla was dał Synek mój, Dzieci do bławatków biegną, zrywają, wiją wianki, biedne i bose, o głodzie zapomniawszy, kwiatkami się cieszą.

Marja i Jezus wyszli na łąkę — tu znów koniczyna barwna w słońcu się pali, płoną żórawie noski, gwoździki i stokrocie, białe powoje otwary kielichy, bluszcz drży leciutko... Niewiasta jakaś z dzieckiem schorzałem stoi na łące, zdziwiona, maleństwu kwiatki pokazuje. Dziecko podniosło główkę, do kwiatków rączyny wyciąga, uśmiech ma na bladej twarzy.

— Rwićcie — mówi Najświętsza Panna, — dużo pomiędzy niemi jest ziół leczących.

Kobieta do nog Królowej Niebios chyli się, dziecko jak gdyby ozdrowiało cudem, wesoło spogląda, wonieje macierzanka, mięta, rozchodnik...

Poszli dalej. Na ziemi, przesiąkniętej wilgocią, do nóżek Jezusieczka przypadły niezabudki całemi kępami, z wód kłaniają się grzybień żółte i białe, cudne lilje, jaskry. Cały świat wygląda odmieniony, ucieleszony, niby dziecko. Pan Jezus się raduje, Najświętsza Panna błogosławi kwiecie polne, które jej synaczek do rąk przynosi.

Do widzenia za tydzień!

Po chwili obie dziewczynki pochyliły się nad książką i z okrzykami podziwu oglądały obrazki, zamykały ją i otwierały, nie mogąc się nią nacieszyć. Szczególniej Mania nie posiadała się z zachwytem — książka ta była o wiele piękniejsza, niż wymarzyć mogła. — W pewnej chwili Marysia, spojrzawszy na jej rozognioną twarzyczkę i oczy błyszczące radością, zamilkła nagle i zamyśliła się nad czymś głęboko.

Zapadał już wieczór i nadeszła chwila powrotu Mani do domu. Matka Marysi ucałowała serdecznie dziewczynkę i poprosiła, aby odtąd co niedzielę przychodziła do nich na obiad.

Gdy obie wyszły do sieni, Marysia szepnęła cicho:

— Maniu kochana, proszę cię bardzo, przyjmij odemnie tę książkę na pamiątkę naszych wspólnych imienin. Tobie sprawi ona więcej radości, niż mnie. A kiedyś pożyczysz mi ją do przeczytania i też dowiem się tych wszystkich ciekawych powiastek...

Mania stała przez chwilę w milczeniu, zrobiła od-ruch, jakby chciała zwrócić książkę, wreszcie jednak rzuciła się Marysi na szyję i szepnęła:

— Dziękuję...

Marysia poczuła, że gorąca łza Mani spływa po jej policzkach...

Gdy wróciła do izby, spojrzała na ojca z pewnym zmieszaniem. A nuż rozgniewa się na nią, że oddała Mani zaledwo od niego otrzymany podarek?

Ale ojciec przyciągnął ją do siebie, objął ramieniem i rzekł, patrząc na nią poważnie:

— Marysiu były to najpiękniejsze twoje imieniny, boś zrozumiała po raz pierwszy, że większą radością jest szczęście innych, niż własne.

Imieniny Marysi

Zaledwo Marysia, córeczka zawiadowcy stacji, wróciwszy ze szkoły, przestąpiła próg schludnej, malowanej olejno izby, przywołał ją do siebie ojciec i rzekł:

— Jutro przypadają twoje imieniny, Marysiu. Jakżeś w tym roku obmyśliła sobie podarunek? Zdaje mi się, że masz ochotę na książkę z obrazkami.

Marysia zaczerwieniła się. Rzeczywiście dawno pragnęła dostać książkę, lecz postanowienie z którym nosiła się od dłuższego czasu, zwyciężyło, choć nie była pewna, czy rodzice zezwolą na jej prośbę.

— Nie, tatusiu! — rzekło śmiało. — Ja wiem, że w domu o grosz nie łatwo, nieraz sobie czegoś odmawiacie, to i ja obędę się bez podarunku, a za to o co innego poproszę. Chciałam, żeby Mania, córka tej Janowej, której mąż umarł, przyszła do nas jutro na obiad. Ona czasem jest głodna, a przecież jutro także i jej imieniny, to się napewno ucieszy, gdy ją zaproszą, a ja też będę miała przyjemność, mając towarzyszkę do zabawy...

Na twarzach rodziców odmalowało się wzruszenie.

— Dziękujemy ci, Marysiu, — rzekła łagodnie matka, — żeś tak wszystko ładnie obmyśliła, żeby nam oszczędzić kosztu, spełnić dobry uczynek i sobie sprawić przyjemność. Zaczynamy naprawdę mieć pociechę z ciebie.

Marysia zarumieniła się z zadowolenia, a tatuś z uśmiechem przycisnął do piersi jej ciemną główkę.

Cóż to była za radość następnego dnia, gdy Ma-

nia, szczupła, blada dziewczynka stanęła na progu! Marynia zajęła się gościem z wielką serdecznością i przejęciem, a Mania, z początku zmieszana i nieśmiała, ożywiła się powoli, stawał się coraz rozmowniejsza, a oczy jej rozjaśniał co chwila uśmiech szczęścia i radości.

Nadeszła chwila posiłku. Potrawy, choć skromne, były dla Mani czemś niecodziennym, to też przyjemnie było patrzeć z jakim jadła je apetytem i z jaką wdzięcznością spoglądała na Marysię i jej matkę.

Po obiedzie dziewczynki przeżegnały się pobożnie i poczęły rozmawiać wesoło o książkach, gdyż okazało się, że obie imienniczki lubiły je bardzo. Mania coprawda oprócz szkolnych książek nie znała innych, lecz wyobrażała sobie, że są w nich śliczne rzeczy. Marysia, która czytała kilka książek podczas wakacji, opowiadała jej o nich z zapałem.

Szybko przeleciał dziewczynkom czas na rozmowę, a potem na wesołej zabawie w chowanego i ani się spostrzegły, jak ojciec Marysi powrócił z codziennej pracy. Wszedłszy, zwrócił się wprost do córeczki i, uniósłszy ją w górę, ucałował w oba policzki, poczem rzekł, wsuwając jej pod ramię jakiś pakunek:

— To za to, żeś była rozsądną dziewczynką.

Marysia, ochłonawszy ze zdziwienia, poczęła powolutku, z zapartym oddechem rozplątywać sznurki. Rozchyliła papier i nagle oczom jej ukazała się śliczna, lśniąca okładka tak bardzo upragnionej — książki! Dziewczynka zawisła na szyi ojca i dziękowała mocnym, serdecznym uściskiem, gdyż z wrażenia głosu wydobyć nie mogła.